

Los

Z PRZYPRAWAMI

Powiedział kiedyś Wiesław Myśliwski, znakomity pisarz, że pisanie zamienia się w literaturę, kiedy autor jest w stanie przedstawić życie swego bohatera jako los. Lecz niektóre życia wydają się literaturą wręcz z założenia, z samego już tylko dramatyizmu następujących w nich wydarzeń, zbiorów towarzyszących im okoliczności, napotkanych po drodze osób. Jakby miały być esencjonalną ilustracją czasów.

Takie właśnie życia staramy się wyluskiwać i pokazywać – żeby były w nich i dylematy, i zmagania, i spełnienia właściwe dla naszej epoki. Gwiazda filmowa odnajdująca się w buddyzmie, as biznesu – w obywatelskim poprawianiu świata, doskonały marszand – w mecenacie awangardowej sztuki, znakomita sportsmenka – w wyciąganiu dzieciaków z niedoli. Wreszcie bohater z okładki, artysta, intelektualista, Rosjanin z urodzenia, hollywoodzcyk z wyboru, Europejczyk z przekonania – w wiecznej podróży za wolnością twórczą.

Wywiady i reportaże o ludzkich losach są trzonem naszego wydawnictwa. Ośmieliliśmy się nazwać je „Sztuką życia”, ponieważ towarzyszy nam przekonanie, że życie jest sztuką. Choćby nawet słowo los intuicyjnie kojarzyło się z nieuchronnością i przeznaczeniem, to własnemu losowi da się pomóc. W istocie składa się on bowiem z codziennych wyborów – niekiedy zasadniczych, jak wybór profesji, niekiedy trywialnych, jak wybór filiżanki do herbaty. Liczy się to, co zamówimy z karty dań głównych, ale i czym będą one przyprawione. Pierwsze decyduje o poczuciu sensu, drugie – o doświadczeniu urody własnego istnienia. Mamy nadzieję, że lektura „Sztuki życia” dostarczy czytelnikom stawy sytej, bogatej i inspirującej.

EWA WILK



© East News

Spis treści

sztuka bycia sobą

Małgorzata Braunek , aktorka i buddystka, o poskramianiu własnego ego	4
Dlaczego człowiekowi wcale nie jest lepiej, gdy ma coraz więcej	12
Teresa i Andrzej Starmachowie : jak stworzyć zgraną rodzinę i świetną kolekcję sztuki	16
Francuska recepta na szczęśliwe życie	24
Andrzej Klesyk , menedżer, o tym, jak nie tracić czasu i szans	28

sztuka piękna

Dr Krystyna Łuczak-Surówka , historyk dizajnu, o przedmiotach, które o nas i do nas mówią	36
Piotr Polk , aktor, o stolarskiej pasji tworzenia	40
100 płyt na XXI wiek – top lista SZTUKI ŻYCIA	44
Andrzej Konczałowski , reżyser filmowy, o zmaganiach z sowiecką Rosją, hollywoodzką Ameryką i skomercjalizowanym światem	50
Najnowszy-najstarszy krzyk mody	56
Drzewo Życia i inne rośliny z biblijnego ogrodu	60

sztuka konsumpcji

Piotr Sielicki , prawnik i finansista, o tym, skąd się wzięły pieniądze, jak się je zarabia i do czego służą	64
Dlaczego nawet ci, którzy nie chcą używać smartfonów, w końcu je kupują	68
Gry planszowe: stara frajda w nowym wydaniu	70
Subiektywny ranking audiobooków	76
Jak słuchawki zmieniły obyczaj obcowania z muzyką	79
Paleniska, piece, kominki: kiedy stały się ozdobą wnętrza	82
Piotr Adamczewski , ekspert kulinarny POLITYKI, o historii i sekretach przypraw	90
Michał Witkowski i Jacek Dehnel , pisarze, o obdarowywaniu się prezentami	95

sztuka dobrej formy

Dalekie podróże w poszukiwaniu prawdziwego życia	98
Jak zadbać o dobry sen?	102
Zofia Klepacka , medalistka olimpijska w windsurfingu, o ważnych dla niej ludziach, zdarzeniach i tatuażach	106
Biegówki: bez szpanu, dla rekreacyjnej frajdy	110

sztuka bycia razem

Lista listów literackich	114
Krystyna Marszałek , żona i matka znanych motorowodniaków, o tym, co widać z kobiecego brzegu	118

Sztuka Życia

ANETA KYZIOŁ
fotografie
LESZEK ZYCH

Była jedną z ostatnich prawdziwych gwiazd polskiego kina i jedną z pierwszych buddystek w kraju. Dziś

Małgorzata Braunek

łączy bycie kapłanką buddyjską z grą w serialu. I wciąż lśni.

Poskram

sztuka bycia sobą



ianięgo

Po ojcu, przedwojennym oficerze kawalerii, który dał jej książki do historii, żeby nie uczyła się kłamstw, odziedziczyła wstręt do PRL, artystyczne aspiracje i romansową naturę. Po matce, rygorystycznej ewangeliczce

– silny charakter i potrzeby duchowe. Reszty dopełniły uroda i talent do trafiania w swój czas. Jej były mąż, reżyser Andrzej Żuławski, pisał, że była nie tyle aktorką, co gwiazdą: „Miała blask... ale przestała grać i blask straciła... Inne sprawy ją zaprzętały, do innego Boga zmierzała...”

Pierwsze role zaczęła grać po pierwszym roku studiów. Daniel Olbrychski zobaczył ją w małej roli w „Żywocie Mateusza” z 1967 r., w reżyserii Witolda Leszczyńskiego: – *Była w kostiumie kąpielowym, zmysłowa atletka, pływaczka, bardzo piękna: dupiasta, cycata*. Krystian Lupa, twórca przedstawienia „Persona. Ciało Simone”, w którym Małgorzata Braunek ponownie, po czterech dekadach, zadebiutowała na teatralnej scenie, od razu w roli quasi-autobiograficznej, aktorki z długą przerwą w karierze – także był nią zachwycony, choć zapamiętał ją nieco inaczej: – *Była w niej tajemnica i ta absolutnie piękna twarz z gotyckich obrazów*.

Ikona pokolenia stała się dwa lata później, kiedy w 1969 r. do kin weszło „Polowanie na muchy” Andrzeja Wajdy. I choć zagrała tam czarny charakter – kobietę modliszkę, która traktuje swoich mężczyzn jak tarany w walce o władzę, pozycję i pieniądze, ulice zaludniły się jej sobowtórami: w krótkich sukienkach, botkach, ogromnych niebieskich okularach-muchach i z wyszczerzonym uśmiechem. Po niej tylko Agnieszka Krystyna Jandy z „Człowieka z marmuru” znajdzie tłumy naśladowczyń.

Pozycję gwiazdy Braunek ugruntuje rolami z kanonu lektur polskich: posągowej Oleńki Billewiczówny z „Potopu” i tragicznej Izabeli Łęckiej w telewizyjnej ekranizacji „Lalki” Prusa.

A potem, w wieku 33 lat, odejdzie z zawodu, odda się medytacji, zostanie kapłanką buddyjską, by na ekran kinowy powrócić trzy dekady później. I to od razu w filmie, który składa hold gwiazdom kina mitycznych lat 60. i 70. – *Ma olbrzymią charyzmę, jest ikonograficzna* – tłumaczy Jacek Borcuch, reżyser nostalgicznych „Tulipanów”. – *Wciąż pamiętam jej Oleńkę i Izabelę Łęcką. Dla mnie, wtedy nastoletniego, nie była ani piękna, ani brzydka, wymykała się kategoriom, była po prostu magnetyczna. Rolę Marii pisałem dla niej, ale dojrzała do decyzji zagrania w filmie dopiero kiedy powiedziałem, że jest inspirowany nową falą francuską, Lelouchem i jego „Kobieta i mężczyzna” (oraz podejrzewam wstawiennictwo jej syna Xawerego)*. I dodaje: – *Na planie emanowała spokojem, miała wielki dystans do grania, po prostu była*. I tak jest do dziś, gdy występuje w kolejnych sezonach emanującego optymizmem serialu „Dom nad rozlewiskiem” według bestsellerowej sagi Małgorzaty Kalicińskiej. Długie blond włosy zostały ścięte, wyszczerzone zęby Ireny z „Polowania na muchy” czy historycznie otwarte usta narzeczonej z „Diabła” Żuławskiego zastąpił szczery, głośny śmiech osoby życiowo spełnionej. Dekady się zmieniają, a Braunek wciąż lśni blaskiem, tyle że teraz już nie aktorki, a buddyjskiej mistrzyni.

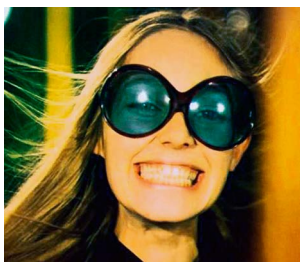
Skandynawski typ

„Taka trochę zdrowa rzępa. Ładne blond włosy miałam. Długie, gęste” – tak opisuje siebie z czasów szkoły teatralnej w wydanym właśnie książkowym wywiadzie rzece „Jabłoń w ogrodzie, morze jest blisko”. I taką ją zobaczył koneser kobiecego piękna Kazimierz Kutz i obsadził w „Skoku” w roli ambitnej dziewczyny z PGR, która zakochuje się w chłopaku z miasta. Razem z nią grali Marian Opania i Daniel Olbrychski, wszyscy ledwo 20-letni. – *Kaziu miał wtedy w zwyczaju trenować swoich młodych aktorów, bankiety odbywały się często* – wspomina Olbrychski. – *Małgosia nie tylko nie ustępowała nam w toastach, ale i zdarzało jej się zanosić kolegów do ich pokojów*. Silna, wyrazista, pasowała Andrzejowi Wajdzie do roli manipulującej mężczyznami, władczej Ireny w „Polowaniu na muchy”. – *Wajda się jej bał* – opowiada Olbrychski, który asystował reżyserowi i grał jedną z ofiar Ireny. – *Poszedł do Kutza po radę, jak z nią postępować, a Kazio mu mówi: Wiesz, Małgorzata Brauning to jest motylek, żdźbło trawy, nitka babiego lata, jutrzeńka, trzeba na nią chuchać, trzeba ją pieścić. Wajda się rozmarzył, a Kazio dokończył: Nieźle też przed ujęciem dać jej setę*.

W życiu ciepła, kumpelska, lubiąca imprezy, z wielkim poczuciem humoru – Olbrychski pamięta, jak na festiwalu w Moskwie tańczyła na stołach, a potem, na oczach jego i Nikity Michalkowa, zjadła bilet powrotny na samolot do Polski. A na ekranie – swoje przeciwieństwo: zimna manipulatrix, wyszczekana pseudointelektualistka albo pomnik polskiej lub arystokratycznej dumy.

Przed premierą „Potopu” część dziennikarzy i widzowie mieli spore obawy, czy zimna, wyzwolona i na wskroś współczesna Braunek to najlepszy wybór do roli polskiej bohaterki narodowej w XVII-wiecznym kostiumie. Po premierze zaś Janusz Głowacki ironizował, że wszystko to bardzo piękne, tylko dla czego Oleńkę gra Max von Sydow. Jerzy Hoffman, bardzo swego czasu rozczarowany faktem, że jego Oleńka po ciąży schudła i z dorodnej Polki stała się, o co obwinia jej drugiego męża, Żuławskiego, eteryczną Europejką, broni swojego wyboru: – *Kobiety* →





1969
Irena
„Polowanie na muchy”



1971
Helena/Marta
„Trzecia część nocy”



1974
Oleńka
Billewiczówna
„Potop”



1977
Izabela Łęcka
„Lalka”

→ Sienkiewiczowi, poza Basią Wołodziejowską, niezbyt się udało, aktorki, w tym Małgosia, nie miały wielkiego pola do popisu. Zadanie było tym trudniejsze, że Braunek musiała przezwyciężyć obraz bohaterki, symbolu polskiej niezłomności i patriotyzmu. A jednak sprawiła, że widzowie płakali, oglądając scenę w kościele z pamiętną kwestią: „Jędrus, jam ran twych niegodna całować”. Mimo kilku złośliwych recenzji, widz, zwłaszcza młody, już wtedy ją zaakceptował, zaś złośliwości dziś nikt już nie pamięta. Daniel Olbrychski dorzuca: – Jako Oleńka w „Potopie” była najładniejsza wśród zdolnych i najzdolniejsza wśród ładnych. A Braunek była dumna z faktu, że udało jej się zrobić choć jedną rysę na pomniku, który za Sienkiewiczem zagrała: zasugerowała, że panna broni się przed zalotami księcia Bogusława jakoś bez przekonania.

Nieco więcej ludzkich odruchów mogła dać cztery lata później Izabela Łęcka w 9-odcinkowej telewizyjnej ekranizacji „Lalki” w reż. Ryszarda Bera. Jej Izabela jest postacią tragiczną. Z całych sił broni się przed świadomością bycia luksusowym towarem, za który jej ojciec chce kupić od ordynarnego handlarza kilka dodatkowych lat utrzymywania pozorów arystokratycznego życia. „To była trudna rola. Skazana na konfrontację z masowymi sympatiami, które, nie wiedzieć czemu, są po stronie Wokulskiego” – tłumaczyła po latach.

Generalnie jednak trudno nie zgodzić się z miesięcznikiem „Film” w jego analizie aktorstwa Braunek: „Nuta dystansu wobec otaczającego świata będzie tworzyć charakterystyczny efekt rezerwy, jakby namysłu, chłodu i obcości. To właśnie sprawiło, że często dopatrywano się w typie postaci stworzonych przez Małgorzatę Braunek pewnych cech »skandynawskich«”. A dystans, zwłaszcza skandynawski, jest szalenie pociągający.

Hipiska w stanie wojennym

„Z jednej strony ten zawód budził we mnie lęk, z drugiej byłam od niego uzależniona. (...) Byłam dziewczyną spontaniczną, żywiołową. Mogłam nawet sprawiać wrażenie osoby odważnej. I pewnie odwagę miałam, pomimo okropnej nieśmiałości. Nauczyłam się ją ukrywać pod maską człowieka, który niewiele sobie z wszystkiego robi” – wyjaśniała Braunek po latach w „Rzeczpospolitej”. Środowisko i widzowie z rezerwą przyjmowali jej role w wizyjnych, granych na granicy historii filmach Żuławskiego, gdzie odtwarzała raczej symbole kobiecości niż ko-

biety z krwi i kości. Choć słynna scena porodu z „Trzeciej części nocy”, którą zagrała wstrząsająco naturalistycznie, do dziś robi wielkie wrażenie.

Odejście z zawodu tłumaczy przesadnym uzależnieniem od grania, zbyt dużymi kosztami psychicznymi. Potrafiła całymi tygodniami leżeć na łóżku w czarnej szacie czekając, aż zadzwoni telefon z propozycją. Nigdy zresztą nie grała dużo, kolejne role filmowe dzieła zwykle co najmniej dwa lata, a krótki epizod występów teatralnych zakończyła ucieczką. Nie udało jej się pokonać paraliżującej tremy, być może spowodowanej brakiem obycia ze sceną i niewielkim warszatem teatralnym, skoro wczesna kariera filmowa spowodowała, że ma za sobą tylko dwa lata studiów w szkole teatralnej, a dyplom aktorski uzyskała eksternistycznie. W przerwach między filmami, żeby przeżyć, objeżdżała kraj z wieczorkami poezji miłosnej do wtóru fortepianu. Pod koniec lat 70. zaczęła mówić o zmęczeniu wewnętrznym rozdwojeniem osobowości na część, która wykonuje, i tę, która kontroluje. I o potrzebie uwolnienia się od uzależnienia od aplauzu publiczności, od stałej konieczności potwierdzania swojej wartości poprzez reakcje widzów.

Część znajomych zejszcie Małgorzaty Braunek z ekranu widzi jednak inaczej: to wpływ kolejnego mężczyzny w jej życiu.

Czy jako symbol kobiety wyzwolonej czuła się feministką? – Nie miałam tej świadomości, czasy były inne – odpowiada. – Lubię iść pod prąd, ale trochę, nie bardzo, nie na tyle, żeby być liderem jakiejś grupy rewolucyjnej.

Mężczyźni mieli na jej życie ogromny wpływ. Najpierw ojciec, który jako więzień oflagu założył teatr, a potem wspierał córkę podczas występów na konkursach recytatorskich. Potem pierwszy mąż, aktor, z którym wzięła ślub jeszcze na studiach. O początkach związku z Andrzejem Żuławskim opowiada w wywiadzie rzece: „Zawsze pociągali mnie piękni, trochę nieobliczalni artyści. Na dodatek szła za nim fama, że jest jednym z najbardziej utalentowanych filmowców. Czy trzeba mi było czegoś więcej? Zajął swoim ruma-

Kiedy do kin wszedł film „Polowanie na muchy”, ulice zaludniły się sobowtórami aktorki w ogromnych, niebieskich okularach.



Odeszła z zawodu,
bo uzależniła się od grania.
Potrafiła całymi tygodniami
leżeć na łóżku czekając,
aż zadzwoni telefon
z propozycją.



→ kiem – to był najnowszy model Porsche – no to wsiadłam i z piskiem opon odjechaliśmy. On od swojej żony, ja od męża. Wierzyliśmy wtedy głęboko, że nasza miłość usprawiedliwia wszystko”.

↑ We wczesnych latach 70. byli jedną z najszykowniej-
szych par w kraju, kursowali między Warszawą a Pary-
żem, który dla Żuławskiego był drugim domem. Zupel-
nie podporządkowała się jego wizji jej: „Trochę szalonej,
ale niewinnej panienki, która tak naprawdę odkrywa ży-
cie dopiero przy jego boku”. Schudła, stała się eteryczną
blondynką, nawet charakter pisma starała się upodobnić
do jego. Nie do końca się udało. Byli razem pięć lat, z te-
go związku urodził się Xawery Żuławski, dzisiaj reżyser
filmowy i telewizyjny.

Trzeci mąż zajechał kolorowym hipisowskim vanem. Andrzej Krajewski był obywatelem Szwecji i współpracownikiem tamtejszej telewizji, dziś tłumaczy na polski m.in. wiersze noblisty Tomasa Tranströmera. Przede wszystkim jednak był hipisem, który czarował opowieściami o podróżach na Wschód. Wkrótce jeździli razem. Podczas jednej z podróży Krajewski robił dla szwedzkiej telewizji wywiady z tybetańskimi lamami – specjalistami od przeprowadzania duszy na drugą stronę. Chodziło o temat gorąco wówczas w Szwecji dyskutowany: kiedy należy pobierać organy do transplantacji. Wtedy poznali Dalajlamę.

Początek lat 80. to był stan wojenny i czas aktorskiego bojkotu środków masowego przekazu. Wielu ludzi, także ze środowiska artystycznego udało się na emigrację wewnętrzną – Braunek i Krajewski nie byli wyjątkiem. Aktorka Lucyna Winnicka założyła Akademię Życia, jeden z pierwszych w Polsce ośrodków rozwoju osobistego. Na zaproszenie psychoterapeuty Jacka Santorskiego do Polski przyjechał Leonard Orr, twórca rebirthingu (metody rozwoju osobistego, w której specjalna praktyka oddechu ma rozwijać świadomość); Braunek i Krajewski zostali trenerami tej metody. Jacek i Wojciech Eichelbergerowie upowszechniali nowe metody psychoterapii i buddyzm zen. Maciej Zembaty medytował w pełnym lotosie nawet na stacji benzynowej, czekając na zatankowanie. O Braunek mówiono, że wygląda, jakby przed chwilą wyszła z jurty, a to były specjalnie szyte albo kupowane w Paryżu ciuchy. Miała też swój hipisowski znak rozpoznawczy: olejek paczuli, kupowany w paryskim sklepiku.

Umieranie ego na poduszce

– To były poszukiwania, na naszej drodze stanął guru Rashnish później znany jako Osho, byliśmy dwa razy u niego w aśramie w Indiach. Ale szybko, także dzięki nauczycielom, którzy wtedy przyjeżdżali do Polski, okazało się, że jednak wolę zen – wyjaśnia wybór swojej ścieżki duchowej. – W zen poznajemy siebie całkowicie. Również od strony psychologicznej i związanych z tym uwarunkowań. Na tej drodze przechodzi się

różne etapy wglądów dotyczących nas samych, ale ważne, by to wszystko puszczając, nie zatrzymywać się, iść dalej. W wywiadzie rzece tłumaczy: „Dobrze jest, kiedy praktyka duchowa pozwala nam wyzwać się z zamkniętego kręgu naszych pragnień, pożądań, naszego nienasycenia”. Japończyk Genpo Roshi, mistrz zen i nauczyciel Braunek, wyrażał to dobitniej. „Musisz umrzeć na tej poduszce!” – krzyczał podczas medytacji siedzących za zen, które zaczynały się zwykle o czwartej rano. Nie wolno się poruszyć – ma boleć. Żeby ego szybciej się wypaliło, używał kiosaku – kij, którym walił po plecach. To był „kij przebudzenia” – medytujący mieli się stać Buddą. Jednocześnie ten sam Genpo Roshi podczas osobistych rozmów był pełen empatii i miłości bliźniego.

Na początku lat 90. Genpo wysłał do Polski swoją francuską spadkobierczynię. Przez półtora roku niemal bez przerwy odbywali trzymiesięczne odosobnienia w górach pod Karpaczem – polegały na praktyce siedzenia i unieruchomienia ciała i umysłu podczas medytacji.

Umysł trenuje się także za pomocą koanów: „To niekiedy proste pytania, paradoksy słowne lub sytuacyjne, które absorbujesz swoim ciałem i umysłem”, np. „Kim jestem?”, „Co to jest Mu?”, „Pokaż mi dźwięk jednej dłoni” – tłumaczy Braunek w wywiadzie rzece. Celem jest dotarcie do Źródła: „Granice zacierają się, przestajemy postrzegać siebie, świat, innych jedynie z perspektywy »ja«. Stajemy się niczym bezgraniczna wielka przestrzeń, w której zawiera się wszystko i nie ma już nic poza tym. Wówczas małe skoncentrowane na sobie »ja« rozpłaszcza się w tej przestrzeni jak kropla w morzu. W zamian pojawia się ja, które zawiera wszystko, może już przestać szukać, miotać się, bo jest pełne i kompletne. Różnie je nazywamy w zen – albo Prawdziwą Naturą, albo Wielkim Oczyszczeniem. Można je też nazwać Wielkim Umysłem. Co nie znaczy, że w tym stanie przebywamy cały czas”.

Medytuje od ponad 30 lat. Codziennie rano, po wzięciu prysznica, robi kilka oczyszczających oddechów i przez pół godziny siedzi w pozycji półłotosu. Dwa razy w tygodniu w zendo – pawilonie do medytacji – na tyłach jej ogrodu spotyka się Sangha Kanzeon, której, jako kapłanka zen, Roshi (osoba „z wielką wiedzą i doświadczeniem” – przyp. red.) Braunek przewodzi. W porywach pięćdziesiąt osób. Każdy nauczyciel przekazuje Dharmę – nauki Buddy – w swoim stylu. Roshi Braunek stawia na uśmiech i tolerancję dla ludzkich słabości. Nie chodzi przecież o to, żeby ego stłumić całkowicie, ale by nie zostało ono naszym stuprocentowym szefem. Nie stosuje też drakońskich metod. Na furtce domu Braunek i Krajewskiego wisi tabliczka: Uśmiechnij się.

Pogodzenie z aktorką

– Nigdy nie żałowałam przerwy w aktorstwie, ona była tak wypełniona, że nie czułam żadnego braku. A kiedy poczułam, nawet nie tyle brak, ile że jestem gotowa, by ponownie wejść na tę ścieżkę, to to się zdarzyło – tłumaczy powrót do zawodu. – O nic nie zabiegałam. Po prostu nagle telefon zadzwonił, choć przez piętnaście lat nie dzwonił. Pierwszy rolę zaproponował jej Łukasz Wylężałek w telewizyjnym spektaklu „Intruz” w 1994 r. – To mnie ponownie obudziło. Wydaje mi się, że moje dawne aktorstwo to było takie zmaganie się ze sobą, a tu zobaczyłam, że już się nie zmagam, że to jest dla mnie czysta przyjemność. „Kiedyś musiałam grać, bo nie mogłam wyobrazić sobie bez tego życia, a w tej chwili chciałabym grać, ale nie muszę, bo i tak żyję” – podsumowała w „Filmie” w 1995 r.

Potem było kilka drobniejszych ról w serialach, nieco większa w filmowych „Tulipanach” (zebrała za nią nagrody) oraz trzy sezony serialu według bestsellerowej sagi Małgorzaty Kalicińskiej, gdzie ze swoim słynnym dystansem gra Basię: piękną, dobrą i spełnioną matkę głównej bohaterki. W tym samym serialu gra córka Braunek i Krajewskiego, 25-letnia Orina Krajewska.

Dwa lata temu Krystian Lupa zaczynał pracę nad spektaklem „Persona. Ciało Simone”. Bohaterką miała być aktorka, która po latach niegrania zastanawia się nad powrotem na scenę; miałaby się wcielić w chrześcijańską myślicielkę pochodzenia żydowskiego Simone Weil. Rolę Elżbiety Vogler zaproponował Braunek: – Jasne, że wykorzystałam moją biografię, byłam tego w pełni świadoma – śmieje się Braunek. W przedstawieniu padają pytania o cenę, jaką najbliżsi bohaterki płacą za jej rygorystycznie pojmowany obowiązek podążania drogą rozwoju duchowego.

Jak na te pytania odpowiada sama Braunek? – W pewnym momencie życia stanęłam na rozstaju: czy mam wybrać rodzinę, czy całkowicie poświęcić się mojej ścieżce.

Wybrałam kompromis. Elastyczność buddyzmu zen polega na tym, że obejmuje on i integruje wszystkie aspekty życia, a jeśli wszystkie, to także rodzinę, dzieci. Zrozumiałam nagle, że mój osobisty zen, moja droga polega na tym, że nie mogę zrezygnować z żadnej części swojego życia. Mąż i ja byliśmy prekursorami zabierania dzieci na sesje odosobnienia, co teraz jest normą. Xawery przez dziesięć lat medytował z nami, potem rodzina i praca go wciągnęły.

Rola Vogler w trudnym spektaklu Lupy to dla Braunek przełamanie traumy nieudanych występów scenicznych z początku kariery. – Dała mi pogodzenie z częścią mnie, która jest aktorką i równocześnie tej aktorki we mnie z moją drogą duchową. Doświadczyłam, że to nie ma znaczenia tak naprawdę, gdzie jestem – moja sala medytacyjna może być wszędzie, także w teatrze. W każdym momencie mojego życia.

Krystian Lupa był zachwycony wspólną pracą: – Jest niezwykle krucha, wrażliwa, uważna i dyskretna. A gdzieś w środku uparta i konsekwentna. Wie, co to jest dążenie. Idzie bez aktorskich ozdobników za chłodną kontynuacją myśli. Ma w sobie władzę wyobraźni, nie potrzebuje jej udowodniać. Poza tym ma w sobie jakąś nieśmiertelną młodość, ciągle jest dziewczyną.

ANETA KYZIOŁ

Sztuka życia

12

POLITYKA ▶ sztuka życia
wydanie specjalne



Pułapki szczęścia

rysunek
MIROŚLAW
GRYŃ

Rozmowa z **prof. Anną Marią Zawadzką** o tym, dlaczego człowiekowi wcale nie jest lepiej, choćby miał coraz więcej

RYSZARDA SOCHA: – Dobrobyt i dobrostan. Dwa bliskie językowo pojęcia, ale znaczenie mają dość odległe. Im większy dobrobyt, tym łatwiej o dobrostan?

ANNA MARIA ZAWADZKA: – Ta zależność nie jest taka prosta. Dobrobyt dotyczy naszego życia w sensie materialnym – zamożności, zarobków, otoczenia, w jakim żyjemy, posiadania różnego rodzaju urządzeń i sprzętów, które ułatwiają codzienne funkcjonowanie. W jakimś stopniu to lepsze zaspokojenie potrzeb materialnych może wiązać się z dobrostanem, czyli z obiektywnym zdrowiem fizycznym człowieka (np. w krajach zamożnych ludzie żyją dłużej niż w krajach ubogich) oraz z zadowoleniem, życiową satysfakcją. Jednak kluczową rolę w osiągnięciu dobrostanu odgrywa zaspokojenie podstawowych potrzeb psychicznych.

Chodzi o jakiś uniwersalny zestaw potrzeb?

Psychologowie nazywają te potrzeby psychicznymi, gdyż dotyczą one wewnętrznych celów człowieka. Zalicza się do nich autonomię, związki z innymi ludźmi,

poczucie własnej kompetencji. Samoakceptację i poczucie wspólnoty rozumiane w taki sposób, że człowiek czuje się użytecznym członkiem społeczności, kimś, kto przyczynia się do pomnażania dobra ogółu. Jeżeli realizuję te cele, to osiągam dobrostan. Dlatego zła jest bieda, ale też bogactwo samo w sobie nie gwarantuje szczęścia.

W niewoli posiadania

Badacze jednak porównują produkt krajowy brutto na głowę i średni poziom zadowolenia mieszkańców danego kraju. Albo sprawdzają, jak to jest z dobrostanem przy określonym pułapie dochodów.

Gdy porównuje się dwie krzywe, w których jedna obrazuje wzrost dochodów, a druga poziom zadowolenia, to okazuje się, że zadowolenie rzeczywiście rośnie wraz ze wzrostem dochodów. Ale tylko do jakiegoś momentu. Potem się zatrzymuje. Czyli następne rzeczy, które osiągamy, nie sprawiają, że jesteśmy szczęśliwsi (zadowolenie z życia nie wzrasta). Dobrobyt tak bardzo ułatwia życie, że człowiek szybko staje się jego niewolnikiem. Jeżeli posiada kilka domów, zaczyna się martwić, że te domy mogą być okradzione czy zniszczone. Potrzebne są mu kolejne rzeczy – ubezpieczenia, alarmy, strażnicy, specjalne zamki. I zaczyna się koncentrować na zarabianiu następnych pieniędzy. Wejście w posiadanie pierwszego miliona skutkuje tym, że chce się mieć następny, i tak w nieskończoność. Amerykanie nazywają to affluencją – grypą dobrobytu. Coraz większe bogactwo staje się centralnym punktem wysiłków człowieka.



© Archiwum

Dr hab. Anna Maria Zawadzka jest profesorem Uniwersytetu Gdańskiego, kieruje Zakładem Psychologii Ekonomicznej i Psychologii Organizacji. Autorka książki „Dlaczego przywiązujemy się do marki”. Redaktorka i współredaktorka: „Psychologii zarządzania w organizacji”, „Życia w konsumpcji, konsumpcji w życiu. Psychologicznych ścieżek współzależności” oraz „Psychologii twórczości. Nowych horyzontów”. Prezes Stowarzyszenia Dziecko bez Reklamy.

